

Od autora: Samotność, prawdziwa samotność bez złudzeń, to stan poprzedzający obłąd lub samobójstwo.

Erich Maria Remarque, Trzej towarzysze.

Saudade III

W Lizbonie został nieco dłużej niż początkowo planował. Nie dlatego, że polubił to miasto, ale nie chciało mu się wracać do kraju. Włóczył się bez celu po mieście, przesiadywał w małych knajpkach popijając kawę lub piwo i wpadł w jakiś taki marazm. Myślał o wszystkim i jednocześnie nie myślał o niczym. Jakiś dziwny stan wytworzył się w nim i nazwał to stanem nieważkości duszy. Miał czterdzieści lat, lecz nic, poza tym. Nieco pieniędzy zarobionych przez te wszystkie lata, które nie dawały ani poczucia bezpieczeństwa ani radości. Po prostu był i nic więcej. Nie miał celu w życiu, żył z dnia na dzień, jak wielu innych i coraz częściej budził się nocą i stwierdzał, że takie życie nie ma sensu. Całe dorosłe życie przepracował na statkach i teraz nie za bardzo wiedział co miałby robić na lądzie. Pracować jako kto? Budowlaniec, kierowca a może nocny stróż, pilnujący opustoszałych budynków. Wydawało mu się, że ściga złudzenia, których wiedział, że i tak nie dogoni.

Siedział w tavernie jeszcze nie wypełnionej ludźmi jak to widywał wieczorami i popijał zimne piwo, czekając, aż podadzą pieczoną ośmiornicę z ziemniakami. Kilka wiatraków przymocowanych do sufitu poruszało leniwie powietrze, dzięki czemu można było odpocząć nieco od upału, który rozlał się na ulice miasta. Malownicze uliczki, kolorowe domy, drzwi, okiennice, niekończące się schody, po których jednak warto się wspinać, by móc podziwiać panoramę miasta. Elektryczne tramwaje sunęły cichutko, zapchane w większej mierze przez turystów obwieszonych plecakami i aparatami.

Zapalił papierosa. Jedyne jego przyjaciel, który nigdy nie zawiódł i zawsze był pod ręką.

Zapachy smażonych ryb, mięs czy frytek mieszały się z rozgrzanym powietrzem, asfaltem i dymem papierosowym. Wydawało mu się, że nad tym miastem unoszą się jakieś cienie, coś nieuchwytnego, czego nigdzie indziej do tej pory, może nie tyle nie widział co nie wyczuwał. Ciężko to określić, to jakby negatyw tego miasta, który czasem uda się dostrzec. Fascynujące i niepokojące zarazem. Miasto złudzeń i iluzji.

Był głodny i nie mógł się doczekać jedzenia. Wstał z samego rana, pozbierał resztę rzeczy, choć zbyt wiele tego nie było, ot, kilka książek, elektryczna golarka, trochę ubrań przesiąkniętych zapachem starej szafy, które wczoraj musiał przeprać i kilka starych zeszytów, w których czasem, kiedy czuł taką potrzebę, zapisywał swoje myśli.

Kelner ubrany cały na czarno podał zamówione danie, skłonił się lekko życząc smacznego i odszedł. Ośmiornica okazała się wyborna. Nie za twarda, nie gumowata a właśnie idealna. Jadał już w wielu miejscach na świecie ośmiornice, ale, musiał przyznać, nigdzie nie smakowała tak jak tu. Po prostu rozpływała się w ustach.

W niemal każdej mijanej kobiecie widział Hanię. Jej oczy, uśmiech, włosy. Właściwie, gdyby się nieco mocniej opaliła mogłaby uchodzić za Portugalkę albo Greczynkę. Często powracał w myślach do tej chwili, kiedy zupełnie niepotrzebnie zapytał, czego od niego chce. Żałował tego, bo wszystko mogło potoczyć się inaczej, być może miałby do czego wracać a tak wszystko schrzanił i pretensje mógł mieć tylko do siebie.

- Ma pan ognia? – wyrwał go z rozmyślań jakiś głos.

Stała przed nim kobieta, blondynka o niewiarygodnie pięknych, niebieskich jak niebo oczach. Zaskoczony tym widokiem, zapatrzył się w te oczy, aż musiała powtórzyć pytanie. Przez te wszystkie lata nau-

czył się angielskiego, zresztą to był również jeden z wymogów, by pływać pod różnymi banderami. Wyjął zapalniczkę, wstał i bez słowa przypalił cienkiego papierosa. Podziękowała i wróciła do swojego stolika w głębi sali. Ta kobieta była jak sen, jak zjawą. Pojawiła się na chwilę i zawróciła mu w głowie swoją urodą, oczami, ciałem.

Zamówił kawę i poprosił o rachunek. Próbował szukać nieznajomej wzrokiem i teraz żałował, że usiadł z przodu, prawie przy przeszkłonej ścianie, by mieć widok na ulicę. Lubił patrzeć na ludzi, auta powoli sunące po zakorkowanych ulicach, tramwaje, którym nic nie przeszkadzało w swobodnym poruszaniu z punktu a do punktu b. Miasto miało swoje tajemnice, wąskie uliczki ukryte z dala od tego zgiełku, gdzie życie toczyło się całkiem innym torem, bez tego pośpiechu. Bieda wyglądała z mijanych bram, odrapanych drzwi i okien, ale właśnie tu słychać było śmiech dzieci biegających za piłką, z której prawie zeszło powietrze, ludzie siedzieli na schodkach przed domami, na ławeczkach, rozmawiali, śmiali się a czasem śpiewali smutne piosenki, zapewne o ciężkim życiu. Tu nie zapuszczali się turyści obwieszani aparatami, nie było sklepów ze złotem i srebrem, w których można by kupić coś na pamiątkę, słono przepłacając. Bezpańskie psy wylegiwały się w cieniu lub biegały za roześmianymi dziećmi.

Dwa różne światy oddzielone od siebie niewidzialnym murem społecznego milczenia, zgody na to wszystko co działo się na całym świecie.

Kawa ristretto w maleńkiej filiżance i szklanka wody postawione przed nim przez tego samego kelnera wyrwały go z rozmyślań. Oczywiście, danie z ośmiornicy było bardzo dobre, ale kelner chyba do brze o tym wiedział, zapytał się, bo tak trzeba.

- Zapraszamy wieczorem na wieczór z muzyką fado – powiedział kelner przynosząc resztę i zgarniając napiwek, za który podziękował szerokim uśmiechem.

Za dwa dni wraca do kraju na statku wiozącym owoce. Gdyby nie pokazał papierów, musiałby wykupić albo miejsce na statku rejsowym, albo wracać samolotem na co nie miał już ochoty. Na takich statkach zawsze znajdzie się miejsce dla takich jak on, dobrze to wiedział.

Wrócił do tej samej taverny późnym wieczorem, kiedy mieszkańcy miasta kładli się już do łóżek, by wstać z samego rana do pracy.

Większość stolików była już zajęta, ale znalazł miejsce w rogu sali. Usiadł i zamówił dwie zimne wódki oraz talerz z zakąskami. Po piętnastu minutach zjadał ze smakiem świeże sardynki z grilla, oprószone solą i polane oliwą z dodatkiem soku z cytryny.

W drugim kącie sali na maleńkiej scenie muzycy stroili instrumenty. Mógł sobie pogratulować, bo gdyby przyszedł dziesięć minut później już by nie znalazł wolnego stolika.

Światła przygasły zmieniając barwę na czerwoną a po chwili na niewielkiej scenie pojawiła się kobieta w długiej czarnej sukni obszytej cekinami. W chwili, gdy rozbłysło światło reflektora muzycanci zaczęli grać i Emil ze zdziwieniem spostrzegł, że kobieta stojąca w jasnym świetle na scenie jest tą tajemniczą kobietą, której po południu przypalał papierosa. Aż się napił z wrażenia.

Dwóch gitarzystów akompaniowało śpiewaczkę. Żałował, że nie rozumiał o czym śpiewa. Chociaż może to i lepiej. Czasem, znając angielski i słysząc te wszystkie teksty wielkich przebojów, aż mu się śmiać chciało z ich prostoty i naiwności.

Wychylił drugi kieliszek przegryzając sardynką i czekał, aż skończy się piosenka. Piękna, lecz nieco mroczna, pełna cieni i chłodu. Tak to odczuwał, bo przecież nie wiedział o czym jest tekst.

Kiedy ucichła muzyka, skinął na kelnera pokazując, by przyniósł jeszcze dwie wódki. Miał ochotę napić się tak, aż zawiruje świat, aż wszystko rozmyje się w byle jakości. Bo świat jest byle jaki zarówno po trzeźwemu jak i po pijaku, tu się nic nie zmienia. Z czasem zacierają się granice między tym co było wczoraj a tym co jest teraz. Zdawał sobie sprawę z tego, że coraz częściej zaglądał w najciemniejsze zakamarki duszy, pozostając tam coraz dłużej. Jeszcze żył, oddychał, ale czuł, jak rzeczywistość przeradza się w krainę nicości.

Czasem dopadały go dni takie jak ten, kiedy nie potrafił się cieszyć chociażby z tego, że jest teraz tu, w

tak pięknym miejscu a wokół tylu uśmiechniętych, radosnych ludzi. W każdej chwili może wsiąść w podmiejski pociąg i wysiąść już chociażby w Caxias, by wykąpać się w Oceanie Atlantyckim, który o tej porze roku był niczym Bałtyk w bardzo upalne lato, o czym wielu może tylko pomarzyć. Może też w każdej chwili wsiąść na statek i popłynąć na drugi koniec świata, lecz mimo to, miał wrażenie, że gorzej nie może już być.

Nie wiedzieć czemu, zawsze pijąc wódkę, odchyłał głowę mocno w tył i zamykał oczy. Podpatrzył to jako młody chłopak u ulubionego wuja Marka i tak utkwilo mu to w pamięci, że postanowił przywłaszczyć sobie ten gest, tak samo jak trzymanie papierosa w lewej ręce, chociaż był prawo ręczny. Czuł, jak alkohol zaczyna rozgrzewać najpierw gardło, by potem rozlać się ciepłem tam w środku, gdzie wydawało mu się, że powinna być dusza. Odstawił kieliszek i sięgnął po papierosa. Nie wiedział, która jest godzina. Stracił poczucie czasu. Do tego jeszcze ta muzyka, smutna, przytłaczająca a zarazem unosząca gdzieś w dal. Kobieta zeszła ze sceny żegnana dużymi brawami i zniknęła za kotarą, a zamiast niej pojawił się starszy, szpakowaty pan, który niemiłosiernie skrzeczał falsetem.

Emil zastanawiał się czy był kiedykolwiek szczęśliwy. Może w dniu, w którym opuścił dom? Chociaż chyba nie. Na pewno poczuł wówczas ulgę, że wyniósł się wreszcie z tego miejsca, ale z drugiej strony, zupełnie nie wiedział, dokąd ma się udać.

Bawił się papierosem, stukając nim o blat stolika, jakby chciał, aby tytoń był jeszcze bardziej ubity, aż w końcu włożył go do ust i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki, kiedy ktoś podał mu ogień. Zdumiony przypalił i podziękował.

- Nie za dużo pan pije? – Blond piękność, w której z pewnością mógłby się łatwo zakochać, usiadła obok nie czekając na zaproszenie i gestem przywołała kelnera, który zadziwiająco szybko pojawił się, jakby tylko czekał na jej sygnał

- Carlos, dla mnie Martini a dla pana jeszcze raz to samo. - Odsunęła krzesło, nie czekając, aż ją poprosi by usiadła.

Kelner odszedł w milczeniu a kobieta znów się odezwała czystą angielszczyzną:

- Napiję się z panem, bo mi żal patrzeć, jak się pan upija w samotności. Ale będzie to dla pana ostatni dziś kieliszek. Potem zamówię panu taksówkę i wróci pan do hotelu, bo podejrzewam, że właśnie tam pan mieszka

- Nad każdym pijącym samotnie facetem się pani tak użala?

- Nie, tylko nad panem, ponieważ wygląda pan jak zbity pies.

Zaciągnął się, wypuścił dym i zaśmiał się z porównania. Wyobraził sobie nie wiedzieć czemu, małego szczeniaczka moknącego na deszczu.

- Z czego się pan śmieje?

- Ciekawe porównanie. Właśnie z tego się śmieje. Prawdę mówiąc, nie mam ochoty wracać do mieszkania, do pustego łóżka, w którym nikt nie czeka. Mam ochotę powłóczyć się po mieście do rana albo upić się w jakiejś obskurnej knajpie, a potem przespać cały dzień, aby nie musieć myśleć o niczym.

- Specyficzne marzenia pan ma.

- Każdy człowiek jest specyficzny, a marzenia, cóż, marzenia są po to, by umierały w samotności, z czasem zapomniane, przysypane stertą trosk, chorób i szarych dni.

- No cóż, dużo jest prawdy w tym co pan mówi, ale nie do końca. Powinniśmy się cieszyć każdym danym nam dniem, bo nie wiadomo co przyniesie jutro.

Sięgnęła do torebki po papierosy, wyjęła jednego i uprzedzając Emila, zapaliła.

- Będzie pani jeszcze śpiewać? – zapytał z nadzieją w głosie, gdyż zdecydowanie bardziej wolał słuchać jej głosu, niż tego starszego pana, po którym widać było, że bardzo męczy się śpiewaniem.

- Nie, na dziś już koniec.

- Szkoda, bo wolałem zdecydowanie słuchać pani niż tego smutnego pana.

Zaśmiała się. Jej czarna suknia obszyta cekinami pobłyskiwała w ciągle zmieniającym się świetle.

- Ten pan to właściciel lokalu, któremu wydaje się, że potrafi dobrze śpiewać i że ci wszyscy ludzie przychodzą na jego występ – zaciągnęła się po czym odchyliła głowę i wypuściła dym. Po chwili, napiła się martini i powiedziała, że również ma ochotę pospacerować po mieście.

- Dosyć mam siedzenia w tej budzie a miasto nocą jest takie piękne. Zresztą, dziś kończy mi się kontrakt. Za chwilę ten stary błazen skończy się wygłupiać, wypłaci mi pieniądze i wynoszę się stąd.

Obrzucił wzrokiem jej szyję, ramiona, piersi i zastanawiał się, czego ona może od niego chcieć. Z pewnością nie była portugalką. Mówiła tak dobrze po angielsku, że nie miał pojęcia skąd mogłaby być. Uroda typowo słowiańska. Może Czeszka albo Rosjanka?

- Wydaje mi się, że źle zaczęliśmy naszą znajomość. Rozmawiamy już jakiś czas a nie wiem nawet jak pani na imię. To znaczy, słyszałem, jak panią przedstawiali jako Gabriłę, ale nie wiem czy to pani prawdziwe imię czy może pseudonim artystyczny. Ja mam na imię Emil - wyciągnął w jej kierunku rękę a ona podała swoją, mówiąc:

- Gabriela to moje prawdziwe imię. Niech pan chwilę zaczeka, muszę załatwić jedną sprawę i będziemy mogli stąd pójść.

Wstała, zgasiła papierosa, dopiła martini i odeszła.

Zjawił się kelner i postawił przed nim kieliszek wódki.

- To od firmy – uśmiechnął się i zaczął zbierać puste kieliszki. Podziękował, poprosił o rachunek i opróżnił kieliszek. Wyjął z paczki papierosa i zapalił.

Zastanawiał się czy czekać na Gabriłę, czy może lepiej wstać i wyjść, powłóczyć się po mieście a potem wrócić do mieszkania. Gdyby nie to, że widział ją na scenie i nie słyszał, jak śpiewa, zapewne pomyślałby, że to prostytutka, próbująca poderwać klienta. Znów uczuł w sobie tę pustkę i tęsknotę za czymś nieuchwytnym, niezrozumiałym. Teraz, kiedy muzyka przestała grać, w lokalu panował jeden szum, kakofonia dźwięków, płatanina różnych języków. Zastanawiał się, czy warto wpłatywać się w jakieś gierki damsko - męskie na dwa dni przed wyjazdem. Dlaczego nie trafił tu choćby miesiąc temu, kiedy cierpiąc na bezsenność, plątał się bez celu po mieście albo leżał na łóżku, wpatrując się w sufit i nasłuchując przez otwarte okno odgłosów miasta.

Uregulował rachunek i wyszedł przed lokal. Dochodziła pierwsza i lokal powoli pustoszał. Ludzie stali jeszcze w grupkach, paląc i rozmawiając, czekając na znajomych i zastanawiając się, co robić dalej z tak piękną nocą. Miasto siedmiu wzgórz jeszcze żyło. Tętniło szumem aut, pulsowało kolorami neonów i reklam, kusząc i przywołując.

Manuel del Kiro

Manuel del Kiro

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Manuel del Kiro, dodano 03.09.2021 17:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.